

„Specyfikacja przeciętnego człowieka”

Specyfikacja przeciętnego człowieka.

Muszę przyznać, że z roku na rok przesiąkałam pewnością, że jestem coraz doroślejsza. Z każdym mrugnięciem wyglądałam poważniej. W moim odczuciu zaliczałam się do kobiet, kiedy kupiłam swoją pierwszą bluzkę z działu bez podpisu *kids*. Teraz wydaje mi się, że jestem mniej dorosła niż przez te wszystkie lata, kiedy się tak czułam. Oglądałam się przez ramię i dziś uważam, że przestały być aktualne wczorajsze przekonania. Jak ja mogłam się tak ubrać? Czemu to powiedziałam? Po co to kupiłam?

Mam pewnego rodzaju fazy i jestem przekonana, że wszyscy je mamy. Może nie zawsze tak samo wyraziste, ale z częścią powinniście się utożsamiać. Jest świetnie, fatalnie, cudownie, tragicznie.

Teraz siedzę trzeci miesiąc w domu i muszę przyznać, że to mi chyba wyjdzie na dobre. Nie od razu tak bym to skwitowała, ale po nitce do kłębka i od początku.

Przez pierwsze dwa tygodnie nie mogłam na siebie patrzeć, spoglądałam w lustro i wydawało mi się, że muszę zrobić makijaż. To brzmi naprawdę żenująco, chociaż wydaje mi się, że w tym zakichanym dwudziestym pierwszym wieku, to zwykliśmy się krytykować. Brzydactwo, paskuda, maskara bez uzasadnienia albo z uzasadnieniem, że po przebudzeniu nie wyglądamy kropka w kropkę jak celebrytki z kolorowych czasopism ociekające polepszaczami.

Z dnia na dzień cienie pod oczami pleśniały jeszcze bardziej. Zdecydowałam, że to jednak dobry czas na detoks kosmetykowy, bo stan mojej cery się pogorszył. Odstawiłam nawet tusz do rzęs. I oj, zaniżyło mi się poczucie wartości. Nagle zmierzyłam się własną wersją saute i wprawiała mnie ona w zmętnienie. Nigdzie nie wychodziłam, więc tułałam się po domu w starych ubraniach, tłustych włosach i zgrają krostek na czole. Pierwsze tygodnie to był koszmar.

Teraz po prawie trzech miesiącach już się zaaklimatyzowałam. Wychodzę na ogródek i się opalam. Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Dostrzegam, że przybrałam całkiem przyjemnego koloru. Wkręciłam się w używanie kremów, serum i maseczek. Zaczęłam spinać grzywkę i po tylu latach dotarło do mnie, że otoczenie wygadywało głupoty, mówiąc, że pewnie mam wysokie czoło.

Co jakiś czas otwieram szafę i przebieram się w ulubione ubrania. Paraduję w szpilkach i jeansowej spódnicy od lustra do lustra, przemierzając mój pokój, sień i łazienkę. Tam i z powrotem. Stroję się nawet jak idę do warzywniaka. Kapelusz i maseczka, okulary i maseczka. Przypominam raczej wcielenie trybu incognito niż paryską modelkę, ale czuję się pewniej. Jakaś taka ważniejsza, ta, co wie, co lubi.

Teraz ochłonęłam i widzę, że to było mi potrzebne, bo przestałam akceptować siebie bez tych wszystkich ulepszaczy i rozpuszczonych włosów. Jestem wręcz zadowolona z mojego wyglądu bez tej okras. Jeśli ktoś nie rozumie na jakiej zasadzie to działa, chciałabym porównać to do sprinterskiego biegu. Najpierw stoimy, więc jesteśmy neutralni, a w wyglądzie naturalni. Potem rozlegają się komendy *do biegu*, *start* i wystrzał z pistoletu.

Wtedy się rozkręcamy. Zaczynamy zauważać, że po nałożeniu podkładu skóra wygląda na perfekcyjną, po maskarze rzęsy dłuższe, a dzięki bronzerowi twarz szczuplejsza. Zatracamy się w tym podczas szaleńczego biegu, najszybszego sprintu. I sprawa zaczyna się kulać i toczyć i eyeliner, rozświetlacz, cienie, prostownica i sprawa nabiera tempa. Ale, gdy przekraczamy metę, zwalniamy. I to siedzenie w domu było moim momentem wyhamowania, nie obyło się bez skutków ubocznych: kolki, zadyszki, zakwasów, zmęczenia, a więc i mojej pseudodepresyjki. Lecz potem oddech się uspokaja i człowiek jest dumny ze swojego czasu. Dlatego uważam, że było mi to potrzebne. Teraz mogę nabrać rześkiego powietrza, świeżego spojrzenia na świat.

Z perspektywy stu dni uświadamiam sobie, że musiałam zostać uziemiona i pozbawiona

kontakty z przyjaciółmi, by móc zawalczyć o coś, co wcześniej sama sobie odebrałam. Teraz po tych stu dniach czeka mnie życiowa matura. Egzamin i próba, które wykażą, ile nauczyłam się z lekcji, którą sprezentowano nam wszystkim.

Dodatkowo dostrzegłam, że zaczęło brakować mi kreatywności. Siedziałam z myślą, że zaciskam ręce na własnej szyi i nie popuszczam, choć oddech jest mi potrzebny.

Kiszę się w śmierdzącej puszcze, widzę to. Nie jestem tak samo kreatywna jak kiedyś. Tu też potrzebowałam wyciszenia. Zamykałam oczy i nawet nie potrafiłam się skupić nad ulepieniem sensownego zdania. Chciałam policzyć zadania z chemii, a cyferki tylko radośnie skakały po kartce zupełnie bez ładu. Literki wzięły je za model do naśladowania i też postanowiły przeprowadzić się do innych wersów. Nie umiałam się skoncentrować na zadaniu, choć niby byłam wyspana, wypoczęta, zregenerowana.

Tylko jakie znaczenie miała ilość mojego snu zestawiona z ośmioma godzinami przed telefonem? Zaczęłam sprawdzać wszystko- zapomniane witryny z obrazkami, znaczenie zasłyszanych słów, strony sklepów odzieżowych i recenzje filmów. W połączeniu z brakiem koncentracji wychodziło jednak na to, że i tak nie pamiętałam tego, co sprawdziłam, ale przynajmniej zabijałam czas najbielszą z broni.

W rezultacie byłam tak zmęczona, że bolały mnie oczy i głowa, ale co z tego? Potem nawet, gdy chciałam zasnąć, bo zmęczenie dawało się we znaki, to nie potrafiłam. A pierwsza myśl, gdy nie mogę zasnąć? Kurczę, co to był ten daktylogram? Sprawdzę jeszcze raz.

Noce też przesiadywałam z telefonem. Ranki z musu szkoły, popołudnia z własnej zachcianki, a wieczory już z musu zachcianki. Pomieszało się wszystko.

Przestałam liczyć dni tygodnia. Co mi po tym, że dziś jest czwartek, a jutro już wskoczymy w niedzielę? Nauczyciele i tak wysyłali zadania wtedy, kiedy wysyłali, bez adnotacji, czy w ten konkretny dzień mielibyśmy planowe spotkanie. Snułam się bez celu w piżamie aż do wieczora. Nie opłacało się nawet przebierać.

A potem nie wiem nawet jak to się stało, że rozbudziłam w sobie wewnętrzną bestię rządzą myślenia. Zaczęłam czytać książkę i chyba wtedy fabuła wciągnęła mnie na tyle, że wyłamała deski, które kneblowały mój telefonowy azyl. Wróciła mi nagle ochota na tworzenie, wena do pisania, pomysły na rysunki, chwytliwe nazwy do projektu z polskiego. Natchnęło mnie na przebieranki, śpiewanie i wystawianie pyszczka do słońca. Tiptopami zawędrowałam tam, gdzie chce mi się robić ręcznie kartki urodzinowe, pocić się podczas jazdy na rowerze. Dawały mi satysfakcję te rzeczy, które wcześniej mnie nudziły, odrzucały. Phi, w czasach, kiedy wszystko można kupić, kiedy można wziąć tabletkę na miliardy powodów, zasypać się proszkami i zalać płynami rozweselającymi, okazało się, że da się wydobyć endorfiny w inny sposób. Chyba doceniłam to, jak ogromny dar posiadam, skoro moją pasją jest robienie rękodzieła, które spotyka się z pozytywnym odbiorem. Rety, tworzenie czegoś, co mnie cieszy i wprawia w osłupienie innych. Gatunek zagrożony.

Nawet nie potrafię wskazać momentu, granicy, na której lata temu postawiłam słupek z oznaczeniem *było, minęło*. Stopniowo przesiąkałam nowymi zasadami, zapożyczając je od innych. Dziś zaczynam chodzić w jeansach, jutro ścinam grzywkę. Przykleiłam się do pikselowego ekranu jak papierek posmarowany superglue.

Żadna zmiana nie wprawia w osłupienie, jeśli zachodzi etapami. Mało kto decyduje, że po wstaniu z łóżka diametralnie zmieni swoje życie, a jednak. Robimy to poprzez rozwleczenie po schodkach kariery, tniemy na kawałki dzieciństwa, bycia nastolatkiem i dorosłość.

I wtedy, kiedy będziemy już na tyle starzy, że nie będziemy w stanie przekazać swoich spostrzeżeń, zaczną się przemyślenia, długie przemowy, które nigdy nie zostaną spisane. Dziś warto się zatrzymać i uświadomić sobie, czy wyjdę do ludzi bez makijażu, bo jeśli nie, to dlaczego? Może warto zebrać się na refleksje już teraz, żeby nie okazało się za późno. Stety niestety.

Codziennie spotykam się z kością niezgody oddzielającą próchniejące ciało i spętana duszę.

Widzę odbicie w szybie i zastanawiam się, dlaczego na to pozwalamy. Dlaczego pozwalamy zaniedbać samych siebie?

Specyfikacja przeciętnego człowieka jest taka, że jego czas składa się z wyżyn szczęścia i depresji smutku. W tych drugich nawet nie kontaktujemy, co dzieje się wokół. Ale one są po prostu potrzebne jak ta szczypta soli, żeby nabrać charakteru.

Przyznaję, kiedy jest źle, to nawet nie chce się słuchać, że *będzie dobrze*. A będzie i to stuprocentowo.

Lekarstwo jest jedno, to te z kategorii gorzkich. Zalecenie, aby sprawy doprowadzać do końca, od A do Z, po kolei. Jeśli ktoś nie zna tej bajki, to wymieniamy razem, nawet bez zająknięcia: A, B, C, D. I gdzieś przekraczając połowę napotykamy fatalne R, którego sama nie potrafiłam wypowiedzieć do czwartego roku życia. Ale trudy, wysiłki, seplenienie i plucie się są warte tego, żeby potem kontynuować alfabet. Wydobywamy się z dna, wdrapujemy się na wyżynę.

Ostatnio czuję się pewniejsza siebie nawet bez tuszu. Trzy miesiące temu tak nie było.

Dostrzegam fakt, że w gruncie rzeczy wcale nie jest tak źle jak to wizualizowałam na początku. Powróciłam do słuchania starych piosenek i wycia wniebogłosy podczas odkurzania. Nawet porzuciłam nicnierobienie i z własnej woli plewię wokół domu.

Drobnostki cieszą na nowo, migoczą radośnie i odbijają się w źrenicach tak jak wtedy, gdy robiły to po raz pierwszy.